

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



GNIAZDKO.

W zielonój krzewinie,
Nad brzegiem strumienia,
Co szumi i płynie
Wśród kwiatów ocienia

Ptaszyna troskliwa
Gniazdeczko uwiła,
W niem czuła, szczęśliwa,
Swe dziatki złożyła.

Codzień je śpiewaniem
Z rana obudzała,
A z nocy nastaniem
Do snu kołysała.

Lecz ten śpiew ją zdradził
I niedobre dzieci
Ku nięj doprowadził,
A skoro odleci,

Ujrzały gniazdeczko,
W niem małe pisklęta,
Które za matczką
Tęsknią niebożęta.

Bez żadnej litości,
Wszystkie je zabrali,
I pełni radości,
Kotowi oddali.

I słuchają dzieci
Od tego zarania
Dzień drugi i trzeci,
Nie stychać śpiewania.

By dociec przyczynę,
Co żywo pobiegli,
I biedną ptaszynę
Bez życia spostrzegli.

Na gniazdku leżała,
Skrzydła rozłożone,
Jakby otulała
Swe dzieci uśpione.

Wtenczas im dopięro
Serce się ścisnęło,
Łzą rzewną i szczerą
Splacili swe dzieło.

Żal było ptaszyny,
Co czuła, tak była,
Że z ich to przyczyny
Życie zakończyła.

Ignacy Stopczński.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historyczném osnute,

przez Maryę Świdorską.

CZĘŚĆ II.

I. Kara Boża. — Kolenda. — Wyprawa na Oczaków.

Kiedy już matka nacieszyła się cokolwiek synem, a Janek odzyskaną niespodzianie rodziną, kiedy oplakali razem stratę Staszka, co już chyba z wysoka radość ich dzielił, kiedy wreszcie wszyscy złożyli modły dziękczynne u stóp tej Matki na Jasnej Górze, co się nimi cudownie opiekowała, a wdowa z dwojgiem dzieci przystąpiła ponownie do stołu Pańskiego, Gozdawowie nie chcieli ich puścić od siebie, dopóki Janek nie dopowie dalszego ciągu przygód swych w niewoli tatarskiej. Pownego tedy wieczora rozpoczął w te słowa:

— Gdym po owę ciężką a długiej gorączce przyszedł do siebie, dowiedziałem się, że tegoż samego dnia, kiedy Staszek nas opuścił, mały Adzi, goniąc w złości któregoś z braci, wpadł do rzeki i utonął; Edyga bey zaś rwał sobie brodę z żalu po stracie syna, którego zawsze bardziej od innych miłował. Kubalim, korzystając z tego, wytłómaczył mu, że to Allah go karze za umęczenie niewinnego dziecka i wymógł tyle, że mnie jemu, to jest Kubalimowi w wyłączną oddano opiekę. Odtąd nie opuszczałem go wcale i wiele mu w tej mojej niewoli zawdzięczałem.

I on się do mnie, jak do syna przywiązał; od śmierci Staszka dziwna w nim zaszła zmiana: codzień modlił się zemną razem do tego Boga, o którym przez lat tyle zdawał się zapominać; wypytawał mnie o strony rodzinne i z rozrzewnieniem słuchał, kiedym mu o was, matusiu, opowiadał, o ojcu i całym domu naszym. Dziwna rzecz, pamiętałem twarz wasze, opowiadania dawne, nawet komnatę ojcowską, gdzie nad łóżem wisiała karabela i palma święcona, ale żadnego imienia przypomnieć sobie nie mogłem, nawet tego, którym mnie wołano, a kiedy się siliłem przywieść je na pamięć, to mię straszliwie coś w głowie, w jednym miejscu boleć zaczynało.

— Bywa to, bywa, panie bracie — ozwał się pan Gozdawa — i mój jeden towarzysz, cośmy z nim razem pod Orszą się bili, jak dostał w głowę od jakiegoś draba, to padł niby martwy, a potem, choć wyzdrowiał, to ani rusz nie mógł powiedzieć, jak się nazywa, a do samej śmierci, przez lat dziesięć, nie wymawiał rozmaitych głosek, co je

wpierw doskonale mówił, jak my wszyscy. Ale gadaj waś, co tam dalej porabiałeś w Krymie?

Kubalim chciał mnie uwolnić i do ojczyzny odesłać, ale tego w żaden sposób uczynić nie można było. Edyga bey nie kazał już mnie męczyć, ani do Carogrodu na sprzedaż posyłać, ale wypuścić też za nic nie chciał i nawet Kubalima już po dawnemu nie wyprawiał w różne strony z towarzami i innemi interesami. Bał się widać, żeby stary nie uciekł, bo mu wielce był przydatnym do nadzoru nad niewolnikami, a przystępował rozmaite wiadomości lekarskie i jego samego pono kiedyś z ciężkiej choroby wydźwignął. Tak tedy Kubalim nadzorował niewolników, a ja, będąc mu nieodstępnym towarzyszem, niejednę ulgę braciom naszym wyświadczyć mogłem.

Mira, dowiedziawszy się o zgonie Staszka, strasznie desperowała, płacząc dniem i nocą, przyczem ciągle całowała krzyżyk jej od niego dany. Myślały Tatarki, że to jakiś czarodziejski dar i chciały go odebrać dziewczynce, ale ta go broniła ze wszystkich sił i kiedy w czasie snu wykradziono jej ów krzyżyk, nie chciała nic wziąć w usta i groziła, że się zabije, dopóki baby nie zwróciły amuletu, jak go nazywały. A dbano tam bardzo o Mirę, gdyż była nadzwyczaj piękną, więc miano ją, gdy podrośnie, odesłać do Carogrodu, sułtanowi w podarunku, żeby mu tam śpiewała i przygrywała na guzli. Wszystko to nam opowiadała dziewczynka, gdyż wymykała się często z haremu, żeby ze mną i Kubalimem, którego teraz bardzo polubiła, rozmawiać o Staszku, o Polsce, o Panu Bogu i wielu, wielu rzeczach. Mówiła zawsze, że do Carogrodu zawieść się nie da i koniecznie chrześcijanką zostanie, żeby tam w niebie zobaczyć Staszka i żeby ją do Pana Jezusa zaprowadził. Tymczasem uczyła się odemnie po polsku i pewną była, że tym językiem Matka Boża i aniołowie rozmawiają.

I tak przeszła zima, choć to tam w Krymie wcale zimy nie znają, bo około naszego Bożego Narodzenia tam róże kwitną. Trudno to było wymiarkować, bo ci niewierni lata i miesiące inaczej niż my liczą, ale między brańcami byli tacy, co nie stracili rachunku czasu i kiedy nadszedł dzień Narodzenia Pańskiego, postanowili go obchodzić, jak się da w niewoli pogańskiej. I tak: kiedy pierwsza gwiazdka na niebie zabłyśła, zebraliśmy się w szopie, gdzie ich na noc zamykano, i śpiewaliśmy kolendę na chwałę nowonarodzonemu Dzieciatku. Nie obeszło się tam bez płaczu i szlochania, bo wszyscy sobie ojczyznę przypomnieli a byli tacy, co już lat wiele w jasyrze spędziwszy, nie spodziewali się przed śmiercią ziemi rodzinną oglądać.

Byli też w osadzie i tacy, co przebywszy długie lata służby u Tatarów, wreszcie dostali po kawalku gruntu do uprawy i odrabiając już tylko pańszczyzną panom swoim pogańskim, poženili się także z brankami i starali się dzieci swoje w wierze ojców wychowywać. Często tam jeden, wiekiem starszy, niby kapłan do ślubu błogosławił i dzieciom Chrztu Ś-go udzielał, a tak starali się biedni bracia niepoddawać pogaństwu. A kiedy nowi przybywali, cóż to był za ruch i wzruszenie w całej osadzie! wszyscy się gromadzą, dopytują, co słyhać tam w ojczyźnie, pocieszają nowo przybyłych i tak to się dziwnie dzieje na tym pięknym Krymie tatarskim!

Raz, pamiętam, niedługo jakoś po Staszkowej śmierci, zrobił się wielki gwałt między Tatarstwem, a nawet Edyga posłał gromadę swoich z jednym synem na czele gdzieś na północ. Wrócili wkrótce, nic nie wskórawszy i rozpowiadali, jak dwaj wodzowie z Ukrainy (Przeclaw Lanckoroński i Daszkiewicz) ze swoimi kozakami podkradli się pod *Oczaków* (to miasto, co to leży przy ujściu Bohu do limanu Dnieprowego, dawniej polskie, dziś tatarskie) i trzy bitwy z Tatarami zwiódłszy, uprowadzili sporo jeńców pogańskich i koni kilkadziesiąt i była do 30,000 sztuk, co się tam po łakach wypasa (1516 r.). Pienił się ze złości Edyga i syna lażał a srogą zemstą palając, sześciu braciom głowy pościąć rozkazał i na wielkich tykach zostawić, żeby je ptaki rozszarpały. Straszny to był widok, aż nam żywym serce drgało z żalu patrzeć na takie okropności.

Zaraz następnego lata znowu hufiec polski w tysiąc koni z Jazłowieckim, Sieniawskim i innymi na czele, puścił się na ten Oczaków i sporo już Tatarów natłukli, kiedy się okazało, że w mieście rządzi Oslam sułtan, sprzymierzony jeszcze dawniej z miłościwym królem naszym Zygmuntem, a niedawno tam przybyły. Dowiedziawszy się o tem, nasi oddali zdobycz Tatarom, a Oslam zaprosił wodzów na bankiet do siebie; ledwie jednak ci się oddalili, zdradne Tatarstwo rzuciło się na Polaków i mordować ich zaczęło. Próżno Oslam wrócił, groził swoim i zabijał ich nawet własną ręką; nie było sposobu wstrzymać rozbestwionej dziczy i dużo tam naszych zginęło. Sam słyszałem, jak syn Edygi, Kantarėj, chwalił się, że niejednego własną ręką ubił. Tak się ta druga wyprawa na Oczaków (1517 roku) nie powiodła.

Czasem znów Tatarstwo robiło wyprawę na ziemię naszą, a nam braciom trzeba było patrzeć, jak się do tego przygotowywali, a potem wracali ze świeżym łupem i jeńcami.

II. Dzieje napadów Mongołskich. — Czyngis han. — Batu-han. — Bitwy pod Kałką i Lignicą. — Złota Horda

— Moja niewola przez to o wiele lżejszą była, żem zostawał zawsze przy Kubalimie, a ten mną się po ojcowsku zajmując, nie dopuszczał zbyt ciężkiej pracy; że sam był człek mądry i nawet w księgach uczony, wielem się od niego dowiedział, szczególnie o Tatarach, ich rozmaitych dawnych wodzach i przygodach.

— To gadajże, panie bracie, co wiesz o tym pogańskim rodzie — mówił pan Gozdawa — bo mi dziwno jakoś wierzyć, żeby ta dzicz i miasta budowała i czémkolwiek się innem zajmowała, jak owym mordem a rabunkiem, co najwięcej nasze ziemię polskie trapi.

— Wiadomo, że Tatarzy z Azji przyszli, a właściwie nie są to Tatarzy, choć ich tak nazywamy, lecz Mongołowie. Błakali się oni po stepach środkowej Azji w dawnych już bardzo czasach, aż się zjawił jeden han dzielniejszy od innych, który podbijał wszystkie plemiona pod swoje panowanie i był pierwszym władcą Mongołów. Nazywają go tylko Wielkim Hanem, ale syn, któremu władzę swą przekazał, zwie się „Temuczyn”. Ten wszystkie plemiona zebrawszy, utworzył 9 obozów aż nad brzegami Amuru. Okrutny, dzięki, tych, co się przeciw niemu buntowali, rzucić kazał do kotłów z wrzącą wodą, a jednego z hanów, co mu się hardo stawił, zabiwszy na miejscu, czaszkę jego w srebro okuć kazał i wszystkim pokazywał, jako dowód gniewu swego. Kiedy się otoczył różnokolorowemi namiotami, po stepie rozrzuconemi, przemawiał do dzikich hord swoich i obiecywał, że im da skarby i bogactwa, jeśli za nim pójdą w kraj daleki. Wtém zjawił się pustelnik jakiś, niby prorok i ogłosił, że sam Bóg oddaje świat Temuczynowi, który nadal ma się nazywać Czyngis-hanem, czyli Wielkim hanem.

Odtąd wszystko się poddało wodzowi, który ogniem i mieczem pustoszył Azję, palił ludne i bogate miasta, do meczetów i świątyń konno wjeżdżał, przebył nawet sławny mur chiński i takie pożary wyprawiał, że pałac cesarzów w Pekinie gorzał miesiąc cały, a powietrze zaćmiewało się od dymów, rzeki zaś czerwieniły się krwią. Po miejscach, które przeszedł Czyngis-han, jak wichier dziki, zalegała pustka i zniszczenie. Dzicz mongolska rozlała się wszędzie, jak rzeka ogromna, krwawa i ognista, zalała Azję i spłynęła na Europę.

Przebywszy Kaukaz, pędząc przed sobą Alanów i Połowców plemiona, Mongołowie rzucili się na Ruś. Nim jeszcze doszli, już książęta Rurykowicze po wielkiej naradzie, odłytęj w Kijowie,

przebywszy Dniepr, rzucili się, by przeciąć pochód barbarzyńcom. Dziesięć dni szli w stepach aż do rzeki *Kalki*, gdzie ogromną stoczono bitwę (1224). Straszna to była klęska dla Rusi; książąt poległo aż siedmiu, samych Kijowian z 10,000 a Mongołowie gnali niedobitki, paląc i rabując aż po sam Dniepr; ztamtąd jednak cofnęli się, i wrócili w stepy do Czyngie hana.

To była pierwsza napaść Mongołów, co jakby luna krwawa zapowiadała cały szereg rozbojów i spustoszeń, na ziemiach chrześcijańskich dokonywanych. W trzy lata potem umarł Czyngis-han, zostawiając władzę synowi „Oktajowi”, który znów wodza „Batego” na ruskie kraje wypuścił. Zrabowawszy z północy Razań, Suzdał, Moskwę, rzucił się Baty na Kijów, który zdobył i złupił, i nigdy się już ów gród sławny nie dźwignął do dawniej wielkości, przestał być stolicą Rusi. Co żyło uciekało do Polski i Węgier, ale pohańcy gonili uciekających.

Wtedy to i na nasze ziemie polskie spadła nawała mongolska (1240 r.) trzema zagonami, jak wąż, obejmując kraj nieszczęśliwy. Wtedy to spalony Lublin i Sandomierz, zajęte Węgry; Henryk wrocławski, syn św. Jadwigi, ginąc pod *Zi-gnicą*, stawia jednak pohańcom dzielny i bohater-ski opór. Odtąd już się nigdy dzieć tak daleko nie zapuszczała, a Baty wrócił ponad brzegi Wołgi.

Dumny zdobyciami swemi, Baty zwał się hanem „Złotój Hordy” i założył we wschodniej Europie państwo „Kapczackie”, obejmowało ono część Rusi (Kijowską i Suzdańską) Krym, Kaukaz oraz wszystkie stepy, od Donu aż do Dunaju, na zachód. Nikt mu się tam przeciwieć nie śmiał, a książęta ruscy jeden po drugim zjawiali się w hordzie, aby bić czołem przed hanem. Ojciec święty słał do niego a potem do wielkiego hana Oktaja poselstwo, namawiając, żeby się nawrócił do wiary chrześcijańskiej, ale pohaniec, dowiedziawszy się od przysłanego do siebie mnicha „Ascellinusa” o zasadach religii naszej, powiedział, że przy takiej wierze ludziedzy znikczemnieli i stali się niezdatnymi do wojny.

— Głupi poganin — mruknął pan Gozdawa — niby to my, choć chrześcijanie, dobrze ich bić nie potrafimy!

— Znów Ojciec Ś-ty słał dwóch Franciszkanów do hana; obaj to pono byli Polacy (Jan de Plano Carpino i Benedykt) i zostawili po łacinie opis swój podróży, ale i ci nic nie wskórali (1246 roku). W dziesięć lat później umarł Baty, a przed nim jeszcze w Azji wielki han Oktaj. Następce Batego w Złotój Hordzie, hana „Berkę” kupcy Buczaccy nawrócili na wiarę Mahometa, a za jego

przykładem mnóstwo Mongołów przyjęło tę religię, że zaś Prorok im nakazuje szerzyć swą wiarę mieczem po całej ziemi, tém więc gwałtowniej rzucili się ci pohańcy na kraje chrześcijańskie.

Polska trzy jeszcze wielkie napady zniosła w XIII wieku i siła ludu utraciła. Wtedy to zamordowano błogosławionego Sadoka i 40 męczenników w Sandomierzu, później znów królowa nasza Kinga musiała uciekać aż w góry Pieniny, a Mongoły oparli się o Tatry. Napadali oni na pogańską podówczas jeszcze Litwę, ale rzadziej; tymczasem ztamtąd właśnie gotowały się dla nich najsrozsze klęski. Gedymin i Olgerd zaczęli bić Mongołów, kiedy książęta moskiewscy jeszcze im się poddawali, potem i ci ostatni trochę podnieśli głowę. Dymitr, Dońskim przewany, na polu Kulikowskim (1380 r.) blisko Donu, pokonał hana Złotój Hordy, Mamaja. Ale i z drugiej strony spadła nawała na Złotą Hordę: tłumy dzikich z Azji Mongołów, pod przewodem strasznego wodza Tamerlana, zwały się na Kapczackie państwo i srogie w niem wyrządziły zniszczenie, ale potem wróciły za Wołgę.

Tymczasem łączyła się Litwa z Polską, a W. książę Witold straszne zadał ciosy Mongołom; chciał nawet sięgnąć do Azji i obalić samego Tamerlana, który pysznił się zwycięstwami swojemi i pobitego sultana Bajazyda obwoził w żelaznej klatce. Ruszył Witold w stepy, ale tu został pobity nad rzeką Worską (1399) przez Edygę, hetmana Tamerlanowego; poległo w tym boju 12 książąt litewskich i ruskich, oraz wiele panów polskich. Mimo to Witold często jeszcze napałował Tatarów, podtrzymując jednych hanów przeciw drugim, aż się Złota Horda rozpadła na kilka mniejszych państw. Głównie gospodarował Witold na Krymie i niejednego hana zmusił do hołdowania Litwie. Pokazywał mi Kubalim dużo pieniążków, co się na Krymie przechowywało z herbem Witolda i napisem łacińskim i Złota Horda ich używała.

Tymczasem powstały trzy państwa tatarskie t. j. haństwa: Astrachańskie, Kazańskie i Krymskie i utworzyła się w stepie dziksza od innych horda Nohajców, pod wodzem „Nohajem” (teść Michała Paleologa, cesarza wschodniego). Między książętami na Rusi zaś odznaczał się Iwan W. Ks. Moskiewski; ten uderzył na Mongołów, zdobył Saraj, ścigając hana Achmata, a gdy tego ostatniego jakiś nieprzyjazny mu inny wódz tatarski zamordował, rozsypała się i przestała istnieć Złota Horda (1480 r.). Synowie Achmata już się wynajmowali za dobry jurgiel (zapłatę) naszym królom Jagiellończykom. Szachmat, jeden z hanów kapczackich, wojując z Moskwą i hanem

Krymskim Mengli Girejem, szukał sojuszu z królem Aleksandrem, ale wkońcu tak dokuczył ustawicznem wicherzeniem, że go musiano zamknąć w zamku Kowieńskim, gdzie też żywota w łańcuchach dokonał (1505) na rok przed zwycięstwem Glinńskiego nad Tatarami pod Klekiem.

— Tam ojciec twój bił się po raz ostatni na wojnie — rzekła Bohowitynowa — i tam od strzały tatarskiej był srodze w nogę raniony. Dostał też od nowego a dziś nam jeszcze miłosiernie panującego króla Zygmunta, co w tymże roku po bracie nastąpił, ów futor pod Tulczynem, gdzie nas to srogie nieszczęście spotkało.

Dziewczęta słuchały wprawdzie opowiadania o Mongołach i Złotėj Hordzie, ale przykrzyło im się cokolwiek, bo ciekawe były dalszych losów Janka na Krymie. Maryjka też się nieśmiało odezwała, prosząc brata, by im coś o tém powiedział. Na co pan Gozdawa mruknął:

(D. c. n.).

PIERWSZA NAGRODA.

Obrazek z życia.

Helenka otuliła starannie chorą matkę, wszystko przygotowała jęj na stojącym obok stoliku, zmówiła z młodszém rodzeństwem pacierz i wtedy dopiero poszła do swojego pokoiku. Przed rokiem umarł jęj ojciec, który będąc znacznym urzędnikiem duże miał dochody; nie szczędził też nic, ani na wykwintne utrzymanie domu, ani, co najważniejsze, na wychowanie dzieci. Brat Edzio ostatni rok jeszcze był na uniwersytecie, a Helenka dwa lata miała chodzić na pensyą, kiedy apoplektyczny atak przerwał tak potrzebne dla rodziny życie.

Pani Dolewska nie posiadała żadnych prawie zasobów, to też będąc zawsze delikatnego zdrowia, ze zmartwienia ciężko zapadła i przeszło od pół roku nie podnosiła się z łóżka. Dobre jęj dzieci wynagradzały w zupełności brak dostatków. Edzio pracował o własnej sile, często matce przysyłając ostatni prawie grosz. Przełożona pensyi, na którą uczęszczała Helenka, zadowolona z jęj sprawowania i pilności, bezinteresownie przyrzekła dokończyć rozpoczętą naukę i co ważniejsze, przyjąć ją jako nauczycielkę po ostatecznych egzaminach.

Rok przeszedł Helence niespodziewanie prędko; pielęgnowała chorą matkę, uczyła w wolnych chwilach sześćioletnie siostrzyczki bliźniaczki, czasem pomagała w gospodarstwie niedołężnej już piastunce, jedynęj dziś służącej w całym domu.

Nawet w niedzielę, oprócz do poblizkiego kościoła, nigdzie nie chodziła, bo chora matka tego dnia z upragnieniem oczekiwała... Helenka czytywała jęj, grywała, a widząc na wybladłym licu matki promień radości, była szczęśliwszą, niż w kółku najweselszych rówieśniczek.

Czasem jednak przychodziła na Helenkę chwila smutku i zwątpienia; kiedy brakowało na wygodne utrzymanie choręj, lub jęj własne ubranie, mimo największych wysiłków, służbę wypowiedziało; nieraz siłą woli ledwo powstrzymywała cisnące się do ócz łzy, gdy strojne koleżanki lekkomyślnie zapytywały o adres magazynu archeologicznego, z kąd jęj suknie pochodziły. Ona sama wiedziała o tém, że staniczek był niemodny i wypłowiwały, ale matka potrzebowała wina, siostrzyczki ciepłych sukienek, a Janowej stara chustka musiała też ustąpić miejsca nowęj.

Często też, kiedy najwięcej miała szkolnego zajęcia, najmniej czasu temu poświęcić mogła... a jęj tak chodziło o pierwszeństwo, i przyrzeczone miejsce płatnej nauczycielki!

Na dzień jutrzejszy byłznaczony pierwszy z przygotowawczych egzaminów. Trzy dni temu najwyższa klasa miała na oznaczony termin napisać wypracowanie, któreby ostatecznie dało poznać stopień rozwinięcia wychodzących z pensyi panienek. Helenka, mimo szczeręj chęci, jeszcze go nie zaczęła nawet. Matka była słabszą, Janowa skaleczyła sobie rękę i dziewczynka nie mogła się wydostać na godzinkę czasu do ukochanych kajetów i książek.

W tēj chwili na wieży wybiła już dziesiąta. Miliardy gwiazd migotały na pogodnym niebie, ale w duszy stojącego w oknie dziewczęcia nie brzmiała ani jedna wesoła nuta. Smutno jęj było i tęskno, ciężko w obec tak poważnych obowiązków. Od piątęj rano była na nogach, zmęczenie nią owładło i senność, a mimo to godzin parę jeszcze musiała pracować.

Dziewczę zapaliło maluchną lampkę, i wjąwszy z westchnieniem papier, zabrało się do roboty. Ale zwykle bystra myśl jęj, dziś dziwnie ciężka i opieszala, nie umiała zająć się leżącym przed nią tematem. Helenka kreśliła ciągle, niezadowolona ze swęj roboty. Przeszło półtorej godziny tak przesiedziała. Policzki jęj pały gorączkowym ogniem, oczy napełniły się łzami. Praca jęj była próżną.

Naprzeciwno stołu stała szafka z książkami ojca i brata. Dziewczynka wybrała jednę z nich, która jęj się najodpowiedniejszą wydawała i zaczęła skwapliwie przerzucać kartki. Widocznie znalazła to czego szukała, bo trzymając w jednę rękę książkę, drugą szybko wiodła po papierze.

Już pierwsza godzina minęła, a delikatna postać dziewczęcia siedziała jeszcze nachylona nad stolikiem. Parę godzin zaledwie odpocząwszy, Helusia pośpieszyła na pensję.

— Cóż, czyś napisała wypracowanie? przeczytaj nam, Helusiu — prosiły koleżanki.

Ale dziewczynka, zwykle tak uprzejma, dziś opryskliwie odmówiła zdziwionym panienkom i zdaleka od wszystkich usiadłszy, wyjęła z teczek starannie utrzymywane kajeta. Przyszła nauczycielka.

— Panienki kochane — rzekła — zanim przed liczniejszymi słuchaczami popisywać się będziecie, niech każda po kolei mnie przeczyta swą pracę, może się coś poprawić uda... Ty zaczynaj, Helenko.

Błada i drżąca powstała dziewczynka, czytała głosem niepewnym, mimo, że wyraz zachwytu i zdumienia ukazał się na twarzy panny Zofii i reszty panienek. Skończyła; przez chwilę wszyscy milczeli, nareszcie nauczycielka pierwsza się odezwała:

— Dziecko kochane, to najlepsza twa praca. Język poprawny, myśl głęboka w każdym zdaniu przebijają. Twoja rozprawka zasłuży z pewnością na ogólną pochwałę. Aleś ty blada, drżysz, zanadto pracujesz, kochanie, odpocznij dzisiaj; idź już do domu, przespawszy się spokojnie, pewniejszym głosem wypracowanie jutro przeczytasz.

Helenka milcząc zebrała książki, ale niestety, wróciwszy do domu, ani zasnąć nie mogła, ani też odetchnąć swobodnie, bo czuła, że pochwały jej się nie należały. Prawie wszystko przepisała z książki i ulegając chwilowej słabości, cudzą pracę podała za swoje, jedynie, aby nie stracić nagrody i sławy pierwszej uczennicy. Jeżeli wyzna prawdę, jakimże wstydem okryje się w oczach przełożonej, narazi na szyderstwo zazdrosnych koleżanek.

Wzrok dziewczynki padł w tej chwili na wiszący portret ojca, on zostawił ich ubogimi, chociaż mógłby być na swoim urzędzie zrobić majątek, wołał bowiem dobre, uczciwe imię pozostawić sierotom, niż dostatki... a ona, ukochana córka jego, bez wahania w cudze przystroiwszy się piórka, chluby w nich szukała! Dziewczynce zdało się w tej chwili, że pogodna twarz ojca sposepniała i w martwym oku coś, jak gdyby łza zamigotała!

— Ojciec mój — zawołało dziewczę — ja cię nie chcę zasmucić! i z bohaterskim wysiłkiem rozdarła kajet, który jej miał zapewnić zwycięstwo.

O czem długo nazajutrz Helusia z przełożoną mówiła, nikt nie słyszał. Dobra pani H. czule

utuliła płaczącą dziewczynkę. Pierwszą nagrodę za wypracowanie przyznano Jadwisi P., która nawet z przyjęciem takowej się wahała, zdziwiona swym niespodziewanym szczęściem.

Helusie czekała inna nagroda, myśl, że nie zboczyła z drogi prawdy i obowiązku, a pani H., widząc, że na znaczny charakter Helenki liczyć może, pomimo jej młodych latek, przyjęła ją za nauczycielkę. Bóg zmiłował się nad całą rodziną. Edzio otrzymał korzystną posadę. Matka w szczególności zdrowie odzyskała i długo cieszyła się dobremi dziećmi.

Marya Ciświcka.

Rośliny cebulkowe.

POGADANKA NAUKOWA.

(Dokończenie).

Gdyśmy mówili o liliach, tulipanach, hyacynthach, niejedną czytelnicze przysły zapewne na myśl narcyzy i zadziwiła się może, iż wyliczając tyle innych kwiatów cebulkowych, które są ozdobą naszych ogrodów, o pięknych narcyzach przepomnieliśmy zupełnie.

W samą rzecz, narcyzy tak są podobne do kwiatów z rodziny liliowatych, że ludzie nieświadomi niepotrafią w nich znaleźć żadnej cechy odrębnej, ale my, co już chcemy udawać uczonych, od razu upatrzymy jedną różnicę bardzo wybitną. Obejrzyjmy ten kwiat uważnie: mamy przed sobą sześć płatków, tak samo, jak u lilii, a także i sześć pręcików, dotąd więc wszystko jest w porządku, ale gdzie jest zawiązek? A! otóż znaleźliśmy różnicę; ten zawiązek u narcyza spostrzegamy ukryty głęboko na dnie kwiatu, a nawet z tem dnem zupełnie zrosnięty. Dno kwiatowe, które jest zarazem wierzchołkiem szypułki, łodyżki kwiatu, nazywa się osadnikiem, a zawiązek, w taki sposób z tym osadnikiem spojony, botanicy nazywają dolnym, albo zrosłym. W kwiecie narcyza widzimy po środku, oprócz płatków, szczególny dodatek, coś nakształt płaskiej czareczki, obwiedzionej czerwonym, karbowanym brzeżkiem. Czareczka ta stanowi jakby ochronne okrycie pręcików i słupka i nazywa się przykoronkiem.

Oprócz narcyzów białych, bywają też hodowane po ogrodach naszych narcyzy żółte, żonkille i tacety. Do tejże rodziny należą kryny i okazałszy od tych wszystkich kwiatów amarylki, w naukowej terminologii *Amaryllis belladonna*; od nich też cała rodzina otrzymała nazwę amarylkowatych.

Amarylka piękną swą postacią najwięcej się zbliża do lilii; ale ta nazwa belladonny, chociaż brzmi bardzo pięknie, przypomina jednakże znaną powszechnie truciznę, używaną także, jak wiele innych trucizn, za lekarstwo. Powiedzmy zaraz na obronę amarylki, że jakkolwiek i ona nie jest bez zarzutu, bo ma w sobie pierwiastki trujące, tej aptecznej belladonny dostarczą jednak całkiem odmienna roślina, nosząca tenże sam przydomek.

Znacie zapewne drobne białe kwiateczki, do dzwoneczków podobne, co to zaraz po stopnieniu śniegów zakwitają. Nazywają je śnieżycą ranną, *Galanthus nivalis*. Należą one do rodziny amarylkowatych, równie jak większy nieco gładyszek wiosenny lub śniegunka, *Leucojum vernum*.

Ale znajdziemy w tej rodzinie i okazalsze rośliny. W Ameryce środkowej, na tych samych stepach, gdzie przebywa Yucca drzewiasta, przeważa na drzewem bagnetowém, wyrasta także tęża, czyli agawa. U nas ta roślina często hodowana bywa w cieplarniach i pokojach, a zwykle niewłaściwie ją nazywają aloesem. Agawa jednak różni się bardzo od aloesu, liście ma tylko podobne, grube, podługowate, spiczaste na końcu, a w około cieniem uzbrojone.

Przypominacie sobie, że aloes jest rośliną afrykańską, o łodydze niekiedy drzewiastej, na której wyrastają gałęzie liśćmi i kwiatami pokryte. Amerykańska agawa nie ma żadnej łodygi, a ogromne jej liście, czasem na dwa łokcie długie, wychodzą wprost z korzeni i przy ziemi w okółek się rozkładają. W pośród tych liści wznosi się w górę olbrzymia szypułka kwiatowa. Taka szypułka, wyrastająca wprost z korzenia, a która nie jest łodygą, bo nie gałęzie lub liście, lecz tylko kwiat podtrzymuje, nazywa się głąbikiem. Głąbik agawy tak szybko wyrasta, że w przeciągu dni kilku dochodzi olbrzymiej wysokości 20, a nawet 30 stóp i wypuszcza poboczne odnogi, zakończone pękami kwiatów żółto-zielonkawych, gęsto skupionych. Nie łatwo jednak ten kwiat obaczyć w naszych cieplarniach, gdyż agawa raz tylko w życiu kwitnie i to wtedy, gdy się już dobrze postarzeje, chociaż nie konieczne raz na sto lat, jak utrzymują niektórzy.

W Ameryce jednakże te kwiaty nie muszą być znów taką osobliwością, gdyż Meksykanie przyrządzają z nich sok cukrowy i otrzymują z niego przez fermentację napój, do rumu podobny, zwany tam *pulqué*. Liście agawy zawierają włókna bardzo mocne, z których dawni Meksykanie robili rodzaj papieru. W Europie południowej agawa przyswoiła się wybornie i oddawna wyrasta dziko na skalistych gruntach.

Kosaciec jest także jednym z tych miłych

kwiatów, które wcześniej na wiosnę zakwitają i zdobią grządki najskromniejszych ogródków. U nas najpospolitszym jest kosaciec niemiecki *Iris germanica*. Każdy z łatwością taki kwiat dostać może, a przypatrując mu się, obaczy, że się składa z sześciu części bogato zabarwionych; z tych trzy odgięte mogą być uważane za kielich, Trzy wewnętrzne za koronę. Przeliczywszy pręciki, znajdziemy tylko trzy w kwiecie kosaćca, zawiązek jest dolny, równie jak u narcyza, a szyjka słupkowa zakończona u góry trzema znamionami, rozszerzonymi nakształt płatków. Gdybyście kiedy chcieli przesadzić krzak cały i wydobyli go z ziemi, obaczylibyście, że korzeń kosaćca nie jest cebulką, nie zagłębia się w ziemię, ale się rozpościera poziomo i rozgałęzia. Taki korzeń jest właściwie łodygą podziemną i nazywa się kłączem. Kłącze kosaćca florenckiego mają przyjemny zapach fiołków, stąd nazywają je pospolicie w handlu korzeniem fiołkowym. Służą do rozmaitych użytków w aptekach.

Liczne gatunki mieczyków, *Gladiolus*, hodowane dla pięknych kwiatów po ogrodach, należą do tejże samej rodziny kosaćcowatych. Na łąkach naszych znajdziemy też niektóre gatunki kosaćców i mieczyków dziko wyrastające. Poznacie je z łatwością po liściach i kwiatach, które choć nie tak wspaniałe, jak ogrodowe, zawsze podobne mają cechy.

Na błotach, między tatarakiem, można natopkać kosaciec błotny, o żółtych, dość dużych kwiatach, a na wilgotnych łąkach kosaciec syberyjski, o kwiatach nieco mniejszych, ciemno-błękitnych. Czasem też wyrastają na łąkach i zarosłach naszych mieczyki zwyczajne. Korzenie ich są cebulkowe, kwiaty, podobne do paszczy rozwartej, zwieszają się zawsze z jednej strony szypułki, tworząc tak zwany kłos jednostronny. Liście mieczyków, stosownie do ich nazwy, mają kształt miecza, czyli są mieczykowate. W Tatrach łąki całe i pola, owsem zasiane, rumienią się od pięknych, purpurowych mieczyków.

Na Podolu, pod Kamieńcem, można znaleźć osobliwszą daleko roślinę z tej rodziny. W Kamieńcu Podolskim za kilka groszy dostaniecie u wieśniaczek na targu wiązanek ładnych kwiateczków fiołkowych, których w Warszawie za żadne pieniądze kupić nie można, bo to jest szafran dziki, który najobficiej wyrasta w górzystych okolicach alpejskich i karpackich.

Wszak znacie ten szafran handlowy, co ma taki mocny zapach? dodają go zwykle do różnych ciast, które farbuje na żółto. Otóż ten szafran hodowany, *Crocus sativa*, zbliżony bardzo do dzikiego, jest jednak odrębnym gatunkiem, pierwotnie

z Azji pochodzącym. Od wieków był pielęgnowany wszędzie, kwitnie też często na grządkach ogrodowych. Kwiat jego żółty, niewielki, ma na słupku znamień niteczkowate, jakby z włókienek drobniutkich złożone. Te to włókienka czerwone, aromatyczne, wyskubane ze znamienia, stanowią szafran handlowy. Wystawcie sobie, że na funt tego specyału trzeba oskubać tym sposobem 20,000 kwiatów. Niedziw, że szafran tak jest drogi.

M. J. Z.

Kolej żelazna w Andach peruwiańskich.

Rycina nasza przedstawia wiadukt *Verrugas*, przeprowadzony ponad głęboką kotliną w Andach. Wiaduktem nazywają most zbudowany nie nad wodą, lecz pokrywający nierówności gruntu. Kolej peruwiańska jest prawdziwem arcydziełem sztuki inżynierskiej, wznosi się na wyżyny, które wyróżniają najwyższym szczytom Alp europejskich, wije się wśród przepaści, skał i przeszkód najrozmaitszych. Długość całej linii wynosi 219 kilometrów, mieści się w niej 35 tuneli, wynoszących razem około 5 kilometrów, 20 mostów i wiaduktów. Z tych najwyższy, na rycinie przedstawiony, ma 30 metrów wysokości i jest zarazem najwyższym na całym świecie. Najwynioślejszy punkt kolei, gdzie jest zbudowany tunel, leży na 4768 metrów nad poziomem morza. Pierwszy pomysł do wykonania téj kolei podał rodak nasz, Ernest Malinowski, on też, jako inżynier naczelny, kierował najtrudniejszymi robotami.

GAWĘDKA

O KAZIMIERZU BRODZIŃSKIM.

(Dokończenie).

— A więc te osoby musiały żyć kiedyś, jeżeli on z nimi śmieje się, płacze i idzie na wojnę; ależ to poeta ma niemało do roboty.

— Kiedy ty mnie nie rozumiesz, Helenko, widzę, żeś jeszcze za dziecinna, to lepiej nic już mówić nie będę, aż urośniesz i zmądrzejesz.

— Mój Józiu, jakiś ty niedobry, obiecałeś, że ile razy przyjedziesz na wakacje lub święta, to mię czego nauczysz, a teraz to nie chcesz mi o Brodzińskim opowiedzieć; a ja tak lubię słuchać o tych, co to coś dobrego na świecie zrobili, albo co ładnego napisali.

— Kiedy zanim ci opowiem o Brodzińskim, to chciałem ci wytłómaczyć, co to jest poeta; ja

ci mówię, że on sobie wyobrażał rozmaite osoby, a wyobrażał je sobie tak, że na chwilę był każdą z nich, a ty myślisz, że on koniecznie musiał z nimi żyć razem, lub być na wojnie...

— No, no, nie gniewaj się, bo ja już teraz rozumiem; on sobie tak wyobrażał te osoby, jak ja kiedy poustawiam lalki, każdej z nich nadam jakieś imię i zajęcie, i za każdą z nich mówię, i śmieję się, i rozprawiam; a kiedy raz jednę malęj lalcę zachorowała mama, to jest, gdy miała rękę złamaną i leżała w łóżeczku; to ja za tę lalkę córeczkę serdecznie płakałam. Bo wyobraziłam sobie, jakieby to było nieszczęście, gdyby broń Boże mama mi zachorowała.

— Tak, Helenko, teraz doskonale zrozumiałaś, tylko widzisz: tyś cierpiała razem z córeczką lalki, aleś nie umiała inaczej swego żalu, jak tylko łzami wypowiedzieć, a poeta, czując to samo, co przedstawione przez niego osoby, wypowiada to, coby one w onę chwilę powiedzieć chciały; że zaś Brodziński, będąc dzieckiem, bardzo wiele wycierpiał, a przedewszystkiem tęsknił za matką, która umarła, gdy był jeszcze bardzo maleńki, wyobrażał więc sobie, jakieby to było szczęście, gdyby mógł kiedykolwiek ujrzeć tę ukochaną matkę; to też przedstawił dwoje dzieci, Wiesława i Halinę, którym było dobrze z tymi, co ich wychowali, a którzy cieszą się jednak z odzyskania prawdziwych rodziców, tak, jak oni nawzajem z ukochanych dzieci, które już oddawna za stracone uważali.

— Czy Brodziński był bardzo mały, kiedy utracił matkę?

— O tak, bardzo mały, bo miał dopiero lat pięć.

— A czy to dawno, jak żył Brodziński? — pytała dalej Helenka.

— Już dosyć dawno, bo Kazimierz Brodziński urodził się jeszcze w zeszłym wieku, to jest roku 1791 a umarł 1835.

— A gdzie mieszkał jego ojciec?

— Ojciec Kazimierza mieszkał w Królowce, w Galicyi, i tam właśnie urodził się nasz poeta, dla tego to często go nazywają Kazimierzem z Królowki.

— Powiedz mi jeszcze, mój Józiu, kto wychował Brodzińskiego, jeżeli on tak wczesnie matkę utracił.

— Otóż to widzisz największe było dla niego nieszczęście, że ojciec, nie mogąc sobie dać rady z małemi dziećmi, ożenił się po raz drugi. Ale ta druga żona była bardzo niedobra i ogromnie dokuczała małemu Kazimierzowi i Andrzejowi, starszemu jego bratu.

— A czemuż ojciec ich nie bronił?

— Ojciec zajęty był gospodarstwem, nie mógł więc siedzieć w domu, a niedobra macocha, chcąc się usprawiedliwić, zawsze skarżyła na dzieci, tak, że nieraz i od ojca dostała im się bura, a czasem i co gorszego.

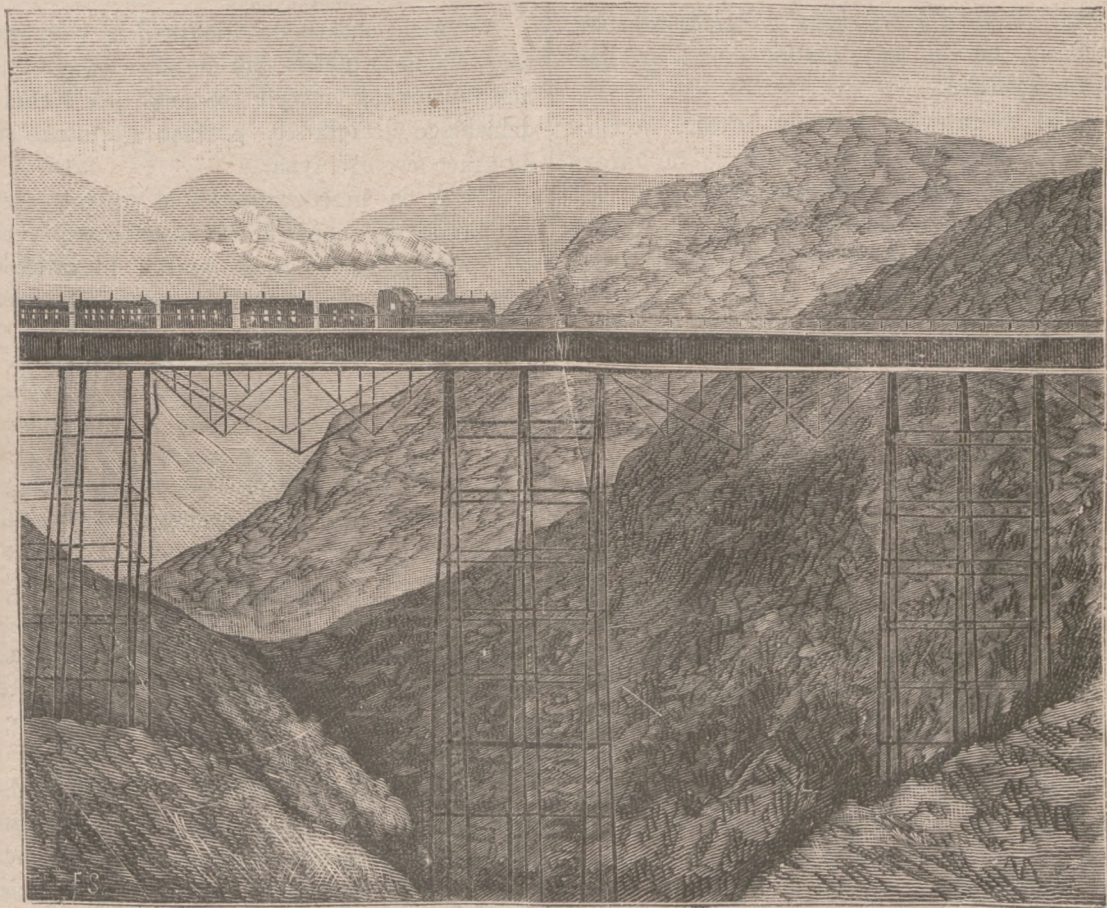
— Ach, jakaż to była niedobra kobieta!

— Och tak, bardzo niedobra. Mały Kazimierz, aby uniknąć jej gniewu, uciekał z domu i bawił się z wiejskimi dziećmi, a wieśniaczki często mówiły mu o matce, przypominały jej dobroć, czasem która popieściła małego panicza, lub

księżycą, bo nie miał za co kupić świecy; pisząc zaś, rzewnie płakał z tęsknoty za matką, której mu tak bardzo brakło.

— To on doprawdy był bardzo biedny i nie-szczęśliwy — rzekła ze współczuciem Helenka — ale powiedz mi, mój Józiu, czy gdy dorósł, szczęśliwszym był choć trochę?

— Wcale nie, zawsze miał rozmaite troski i kłopoty. Kiedy był w gimnazyum, musiał ogromnie pracować, ojciec wkrótce umarł, majątku prawie nie zostawił, a Kazimierz tak pragnął na-



Kolój żelazna w Andach peruwiańskich (str. 360).

dała jaki przysmaczek; czasem zaprowadziła do ogrzanej izby wraz ze swemi dziećmi; to też Brodziński pokochał lud wiejski, a potem, gdy wyrósł, często zwracał się myślą do towarzyszy lat dziecińczych, i główne osoby, to jest bohaterów do swojego Wiesława, wziął z pomiędzy wieśniaków.

— A czy Brodziński był w szkołach?

— Był, a jakże! ojciec oddał go wraz z Andrzejem do gimnazyum w Tarnowie, gdzie bardzo dobrze się uczył; a zaledwie nauczył się pisać, napisał wierz o zmarłej matki, i to przy świetle

uki! Musiał więc dawać lekcye, aby się utrzymać. Tém większa zaś w tém jego zasługa, że w szkołach galicyjskich nie uczono wtedy po polsku, tylko wszystkie nauki wykładano w języku niemieckim. Brodziński, jak tęsknił za matką, tak teraz tęsknić zaczął za ojczystą mową, korzystał z każdej sposobności, aby czytać po polsku. Raz przekupka zawinęła mu ciastko w kartkę z dzieł Kochanowskiego; wiesz, tego, co to napisał takie piękne wiersze na śmierć swęj córki Urszulki; otóż uprosił on przekupki, że mu sprzedała książ-

żkę przeznaczoną do zawijania rozmaitych przysmaków, znajdujących się na jej straganie, i zaznajomił się z niektórymi utworami Kochanowskiego. Tym sposobem, gdzie mógł, zbierał polskie książki, aby jak najlepiej poznać język, którym go niegdyś pieściła matka i którym nauczył się do niej najpierwsze wymawiać wyrazy. Bo on tak ją kochał, że kochał nawet wszystkie dzieci, przez matki swoje pieszczone, uważając je za lepsze od innych, skoro im Bóg matki nie zabrał.

— Ale bo też on miał zupełną słuszość, mój Józiu. Ciekawam, jak można być złą, jeżeli mama uczy, pieści i przestrzega na każdym kroku. O, te dzieci, co nie mają matki, muszą być bardzo nieszczęśliwe.

— Tak, to prawda, Helenko, to też, ile razy wracam do domu na wakacje, zawsze się bardzo cieszę, że czas jakiś z rodzicami przebędę. Ale Brodziński nieznał tego szczęścia, a jednak przez wspomnienie matki starał się być dobrym i pragnął coś takiego zrobić na ziemi, aby matka, patrząc z tamtego świata, szczerze się tym ucieszyła.

— Czy wiesz, Józiu, ja sobie nigdy nie mogę wyobrazić, żeby ci mądrzy ludzie, co piszą książki, byli kiedyś dziećmi.

— Jakażes ty zabawna; przecież każdy z nich był kiedyś dzieckiem, ale nasz Brodziński tak, jak sobie w dzieciństwie obiecał, że ucieszy postępowaniem swoim matkę, która nań z nieba spogląda, tak też tego i dokonał, bo wszędzie, gdzie tylko mógł, dawał dowody, że kocha ziemię, na której się urodził i wychował, i pragnie być pożytecznym człowiekiem. Mając lat ośmnaście, został żołnierzem wraz ze swoim bratem Andrzejem, który zginął w bitwie nad Berezyną; wkrótce potem Kazimierz był wzięty przez Prusaków do niewoli, a kiedy go wypuścili, osiadł w Warszawie, gdzie dawał lekcje języka polskiego, a potem został profesorem uniwersytetu.

— Mój Józiu, czy Brodziński nic więcej oprócz Wiesława nie napisał?

— Owszem, napisał jeszcze dużo pięknych rzeczy i wierszem i prozą, a pisał tak, że go każdy mógł zrozumieć, bo wszystko to, co pisał, sam czuł doskonale i umiał prostymi wyrazami wypowiedzieć.

— A czy on dla dzieci pisał także powiastki?

— Nie, dla dzieci Brodziński nie pisał żadnych powiastek, ale pisał dużo o języku polskim i ułożył dzieje Starego i Nowego Testamentu.

— To ja nie mogę czytać tego wszystkiego, co Brodziński napisał?

— Teraz jeszcze nie, boby cię to nie zajmowa-

ło, lecz wiedz tylko o tém, że gdyby Brodziński nie był napisał tylu pięknych rzeczy, które wskazały, jak trzeba się uczyć języka polskiego i ile w nim jest bogactwa i piękności, toby dziś nie było tyle wierszy i powiastek, które cię tak zajmują.

— Toś ty, Józiu, bardzo mądry, kiedyś już tyle przeczytał i tak mi to umiesz opowiedzieć; może i ty będziesz kiedyś takim, jak Brodziński!

Józio zaczerwienił się z radości, że Helenka tak uznaje jego rozum, a przypomniał sobie Brodzińskiego, który umiając bardzo dużo, był jednak skromnym i nigdy nie chełpił się z tego, odrzekł tylko siostrzyczce:

— Ach, chciałbym kiedyś być pożytecznym człowiekiem, i umieć, jak można najwięcej, ażeby moi rodzice tak cieszyli się mną, jak matka Brodzińskiego cieszyła się, patrząc z tamtego świata na prace swojego syna.

— A ja przedewszystkiemi pragnę uściskać i popieścić się z moją kochaną matką — odrzekła Helenka i pobiegła do matki, która ukończywszy swoje zajęcia, wyszła naprzeciwko ukochanych dzieci.

Z. Morawska.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Nabijając broń na nowo, Wiliam usłyszał szelest wśród roślin pasorzytnych, pokrywających pochutnik, przy którym stali obaj z Kongiem; coś poruszało się w zielonej gęstwinie.

— Baczność! — krzyknął William, i odsunął się żywo od drzewa, trzymając broń w pogotowiu. Oskoczywszy na jakie dwanaście kroków, odwrócił się, gotów do walki z każdym nieprzyjacielem. U stóp drzewa stał człowiek, który zsunął się z pomiędzy roślin i gałęzi w chwili, gdy strzelec odbiegał od owej gęstwy. Odzież i cała powierzchowność tego człowieka wskazywały, że był krajowcem, ale nie pochodził z żadnego z tych plemion wstrętnych i upośledzonych, które znaczną część Afryki zaludniają. Człowiek ten mógł mieć około lat czterdziestu, był silny, dobrze zbudowany a rysy jego twarzy miały wyraz roztropności i odwagi. Nie należał on do rasy czysto murzyńskiej, cera jego była czarna, ale włosy i typ fizjonomii zbliżały go raczej do Europejczyków. Wszystkie powyższe spostrzeżenia uczynił William w przeciągu kilku sekund, bo też nie miał czasu dłużej się przyglądać temu człowiekowi, który biegł w kie-

runku rzeki z taką szybkością, jakby strach dodał mu skrzydła. A jednak pośpiech ten inną miał przyczynę i Kongo poznał się na tém natychmiast.

— Wody! on chce wody! — krzyknął Kafr. I wistocie William ujrzał, jak nieznajomy dopadłszy do rzeki zanurzył się w nią z głową, a następnie napawał się wodą z taką chciwością, jak gdyby rzekę całą chciał wysuszyć.

Na odgłos wystrzału Henryk i Arend puścili się natychmiast za Williamem, pozostawiając Hansa z Facetanem na straży karawany. Przybyli w chwili, gdy Afrykanin, zaspokoivszy pragnienie, powracał ku drzewu, u stóp którego stali William i Kongo. Nie zważając na nowo przybyłych, człowiek ten przystąpił do Williama i z postawą pełną godności, właściwej niektórym ludom na wół dzikim, począł mówić do niego. Widocznie poczuwał się do obowiązku oświadczenia swęj wdzięczności, chociażby słowa jego nie miały być zrozumiane.

— Rozumiesz ty, co on mówi? — spytał William Konga.

— Trochę — odrzekł Kafr, i przetłómaczył po swojemu mowę tamtego. Było to po prostu podziękowanie za to, że młody strzelec uwolnił go z więzienia na drzewie; dziki ten utrzymywał, że Williamowi winien jest życie i za to oddawał się zupełnie na jego usługi i rozkazy.

— O! cóż za wspaniała ofiara! — zawołał Henryk, śmiejąc się — mam nadzieję, że William nie nadużyje tego poświęcenia.

Hans i Facetan przybyli tymczasem z końmi jucznymi. Upatrzywszy stosowne miejsce w pobliżu, podróżnicy rozłożyli obóz na nocleg. Najprzód zabrali się wszyscy do zbierania suchych gałęzi i rozpalenia ogniska. Buszman wziął na siebie oporządzenie i upieczenie młodego bawołu. Następnie wszyscy zasiedli dokoła i oczekując na wieczerzę, a posługując się Kongiem, jako tłumaczem, słuchali opowiadania przygód, które sprowadziły wpółdzikiego gościa do ich obozu.

X.

Makora.

Afrykanin z pewną dumą opowiadać zaczął o sobie, przechwalając się widocznie swym społecznym stanowiskiem. Nazywał się Makora i pisał godność wodza. Plemię jego należało do liczego narodu Makalolosów *) było niepodległe,

przebywało w pobliżkiej wiosce. Dnia poprzedniego Makora płynął czołnem w górę rzeki, w towarzystwie trzech swoich podwładnych, w celu zbierania zapasu pewnej rośliny w tych stronach rosnącej, która dostarcza soku trującego do napuszczania ostrza strzał i dziurków. Przepływając przez mieliznę, próbowali oni zabić hipopotama, który się przechadzał w głębi rzeki tak, jak bawoły przechadzają się po łące, szukając pokarmu. Wtém nagle, wychodząc na powierzchnię wody, potwór wyrzucił czołno i Makora musiał wpław dostać się do brzegu, utraciwszy w tym wypadku doskonałą strzelbę, za którą dał ośm kłów słoniowych. Co się stało z jego towarzyszami, nie wiedział.

W pobliżu wybrzeża wódz spotkał stado bawołów, idących do wody, a te go ominęły spokojnie. Na nieszczęście w tej samej chwili jeden ze starych bawołów przewrócił i zranił młode bawolątko tak, że nie mogło iść dalej. Matka tego malca odwróciła się, nie widząc go przy sobie, a spostrzegłszy, że jest zraniony i ujrawszy równocześnie Makorę, rzuciła się wściekle na niego, obwiniając go widocznie o nieszczęście, jakie spotkało jej dziecko. Wódz zaledwo zdążył wdrapać się na drzewo, unikając szalonej napaści zrozpaczonej matki. Bawolątko z trudem dowlókło się za matką do tego drzewa, dalej ani krokiem nie mogło postąpić, więc matka pozostała przy niem. Dla tego to myśliwi zastali Makorę ukrytego na drzewie. Próbował on zejść z tamąd, ale bawolica groziła mu ciągle strasznymi swemi rogami. Umierał już prawie z pragnienia, gdy celny strzał Williama oswobodził go z więzienia. Wódz zakończył swe opowiadanie, zapraszając wybawcę swego i jego towarzyszy, aby z nim poszli nazajutrz do jego wioski, gdzie z należnemi im honorami będą przyjmowani i ugoszczeni. Dowiedziawszy się, że rezydencya dzielnego wodza znajduje się poniżej rzeki i niedaleko od jej brzegów, myśliwi chętnie przyjęli zaproszenie.

— Ten człowiek — rzekł William — ucieszył mię mocno swą opowieścią, bo z niej dowiadujemy się, że tu są w pobliżu hipopotamy; niezadługo więc będziemy mogli wypowiedzieć wojnę tym potworom.

— Wypytaj no go jeszcze o krowy morskie, Kongo! — rzekł Henryk — czy dużo ich jest w tej okolicy?

Na pytania Kafra wódz oznajmił, że hipopotamy niezbyt często zdarzają się w tej części rzeki, ale że o jeden dzień drogi poniżej znajduje się łąka przerznięta wodą, a krowy morskie są tam tak liczne, jak gwiazdy na niebie.

— To dobrze, tego nam tylko potrzeba —

*) Lud Makalolosów należy do szczepu tak zwanych Bechuanów, niezbyt dawno osiedlił się na wybrzeżach rzeki Zambezi.

rzekł William — a teraz, Kongo, wypytaj jeszcze o girafy.

Co do tego, okazało się, że Makora wątpił bardzo, aby myśliwi mogli w tych okolicach doliny Limpopo napotkać girafy. Wprawdzie i tu zwierzęta te ukazywały się czasem pojedynczo, ale nie miały w tych stronach stałego siedliska, i tylko przypadkowo tu zabiegały.

— Zapytajże go, czy nie wie, gdzie to girafy mają stałe siedlisko — rzekł William, który podobno najbardziej girafy miał na sercu.

Zdawało się, że Makora nie chciał lub nie mógł odpowiedzieć natychmiast na to pytanie. Mówił tymczasem, że ojczyzna jego własna i jego pokolenia, leżąca bardzo daleko na północno-zachód, jęczała pod przemocą potężnego króla Zulusów, który kazał się uznawać za władcę tej ziemi i nakładał ciężkie daniny na wszystkich okolicznych wodzów. Z pewnych tajemniczych przyczyn Makora utracił łaskę króla Zulusów i innych wielkich wodzów ludu Makalolosów, a przez to zmuszony był opuścić ojczyznę wraz z całym swym pokoleniem i osiedlić się w miejscowości, do której zapraszał teraz młodych myśliwców.

— Ależ ja nie o to pytam — rzekł zniecierpliwiony William, który bardzo mało troszczył się o sprawy polityczne własnego kraju, a tym mniej miał ochoty zajmować się sprawami afrykańskiego królika, czy wodza. Przywołany w ten sposób do porządku Makora, rzekł, że właśnie w ten sposób odpowiadał on niejako na pytanie Williama, gdyż nigdzie na świecie niema takiej ilości giraf, jak w tej jego pierwotnej ojczyźnie, z której uchodzić musiał z przyczyny przemocy króla Zulusów. Tam jest prawdziwa kraina giraf i tam od lat dziecięcych Makora na nie polował.

W tym miejscu rozmowę przerwał Facetan, oznajmiając, że wieczerza gotowa i natychmiast postawił przed myśliwymi i ich gościem potężną pieczeń bawołą.

Makora, który na pozor bardzo cierpliwie oczekiwał tej chwili, i teraz z początku zachowywał się z przyzwoitą powagą, ale potem dał za wygraną względem towarzyskim i począł tak chcieć pożerać, że wkrótce sam jeden pochłoniął co najmniej czwartą część mięsiva, przygotowanego dla całej gromadki. Uznał jednak za właściwe złożyć ten nadmierny swój apetyt na karb dwudniowego przymusowego postu na drzewie.

Po wieczerzy, każdy rozciągnął się jak mógł najwygodniej w pobliżu ogniska i sen dobroczynny zamknął powieki znużonych wędrowców.

Noc przeszła bez żadnych wypadków. Pierwsze promienie słoneczne zbudziły śpiących, ale

jeden z nich wstał wcześniej od słońca i cichaczem obóz opuścił, był to Makora.

— Héj! Facetan! Kongo! — krzyknął Arend spostrzegłszy, że wódz uznał za stosowne nie dotrzymać towarzystwa myśliwym — zobaczcie no tam czy nie brak nam którego konia; bardzo być może, że nas zdurzono bajkami i okradziono na dobitkę.

— Któżby to miał zrobić? — spytał William.

— Twój przyjaciel wódz. Wyniósł się sam, a mógł wynieść i co innego.

— Mylisz się — zawołał William z niezwykłym zapalem — gotów jestem ręczyć za tego człowieka, za uczciwość i prawdę słów jego, chociaż nie umiem wytłumaczyć jego zniknięcia. To jest prawdziwy wódz i na wodza wygląda!

--- No tak, wódz! — odezwał się Henryk sztynderskim tonem — w tych stronach każdy jest wodzem, byle tylko miał rodzinę. A czy prawdę mówił czy nie, w każdym razie sposób, w jaki nas opuścił, musi budzić podejrzenie.

Hans swoim zwyczajem milczał, przedmiot ten nie obchodził go wcale, a Facetan, sprawdzwszy, że nie brakło ani konia, ani strzelby, oświadczył, że nigdy w życiu jeszcze nie doznał takiego zdziwienia. Nic nie brakło w obozie, a jednak Facetan miał głębokie przekonanie, że żaden człowiek, mówiący językiem zrozumiałym dla Konga, nie mógł być uczciwym.

Konie pasły się na łące, młodzi myśliwi posilali się także śniadaniem, a potem udali się w dalszą drogę wzdłuż wybrzeży rzeki.

XI.

Kraal Makory.

Po trzech godzinach podróży, młodzi myśliwi dostali się do okolicy, gdzie obecność ludzi, a przynajmniej ślady ich przejścia, były coraz widoczniejsze. W wielu miejscach sterczały karczce pościnałych karłowatych palm, których pnie były zabrane, a liście zielone rozsypały po ziemi. Słonie, girafy, lub inne roślinożerne zwierzęta, mogły być wprawdzie także połamać drzewa i obedrzeć je z koron zielonych, ale tu były ślady widoczne siekiery na pozostawionych szczątkach. O pół mili dalej pola uprawne wskazywały, że okolica zamieszkaną była przez lud przemyślny i roztropny.

— Patrzcie! — zawołał Arend — widzicie tam liczną gromadę ludzi, postępującą naprzeciw nam?

Istotnie w stronie, którą wskazywał, szło z pięćdziesięciu ludzi po szczytach pagórków.

— Kto wie, czy bardzo przyjacielskie mają względem nas zamiary; cóż pocniemy? — zapytał Hans.

— Idźmy na ich spotkanie—odpowie Henryk— dla czegoż mieliby nieprzyjaźnie przeciw nam występować, skoro im nie uczyniliśmy nic złego?

W czasie téj rozmowy, odległość między dwiema gromadkami ludzi zmniejszała się, i wkrótce ujrano na czele owych krajowców człowieka, jadącego na wole, w którym myśliwi poznali wczorajszego gościa w obozie.

Jego powitanie, zwrócone do Williama, przetłumaczył natychmiast Kongo :

— Zaprosiłem cię — mówił — do mego kraalu, wraz z twymi towarzyszami. Opuściłem cię dziś bardzo rano i pośpieszyłem do swoich, aby przygotować ci przyjęcie godne tego, który obszedł się z Makorą po przyjacielsku. Niektórzy najdzielniejsi z moich poddanych przybywają tu ze mną, aby cię powitać.

Orszak uporządkował się, i skierował ku ukazującej się w oddali wiosce afrykańskiej.

Ze sto pięćdziesiąt kobiet stało zgromadzonych u wejścia do wioski. Za zbliżeniem się orszaku, zaczęły one śpiewać półgłosem na jakąś nutę rzewną i przeciągłą, podobną trochę do cichych płosenek, które matki śpiewają nad kołyską małych dzieci. Domy téj wioski czyli kraalu, stawiane na podobieństwo palisad, składały się z belek, ustawionych jedna obok drugiej pionowo, i przeplecionych giętkimi roślinami, trziną, trawą, włókniestymi liśćmi. Dachy były płaskie, ziemią stwardniałą na słońcu narzucone.

Goście byli odprowadzeni do wielkiej budy w pośrodku kraalu, gdzie zsiadli z koni, które rozsiodlano i puszczone na pastwisko. Jakkolwiek podwładni Makory mieli zaledwo trzy godziny czasu na przygotowania, potrafiłi przecież wspaniałą urządzić ucztę. Były tam przepyszne pieczenie z antylopy, z hipopotama i z bawołu, ryby pieczone, ziarna kukurydzy smażone, miód leśny, kompot z dyni, i wielka ilość doskonałego mleczywa.

Usługiwano myśliwcom i częstowano ich serdecznie, a gościnność ta rozciągała się nawet i do psów. Co zaś do Konga i Facetana, ci z pewnością nigdy w życiu nie byli dotąd nigdzie przyjmowani z takim szacunkiem.

Po uczcie, Makora oznajmił swym gościom, że im przygotował rozrywkę. Aby zaś lepiej mogli widowisko ocenić, opowiedział im najprzód, jakim okolicznościom zawdzięczał możność uraczenia ich tém przedstawieniem.

Po wypadku z hipopotamem i zniszczeniu członka, towarzysze wodza powrócili do wioski z wiadomością o tém, co zaszło. Natychmiast całe pokolenie zajęło się odszukaniem wodza. Nie znajdując go, sądzono, że utonął lub został zabity przez krowę morską. Skutkiem takiego przekonania,

jeden z najbardziej wpływowych członków pokolenia, Sindo, ogłosił się wodzem. Rankiem, gdy Makora powrócił, Sindo spał jeszcze. A więc zanim przywłaszczyciel dowiedział się o powrocie prawego władcy, już chatę jego otoczono i uwięziono go, a związawszy porządnie i pilnując bacznie, czyniono przygotowania do kary śmierci.

Otóż kaźń Sinda była tą zapowiedzianą młodym myśliwym rozrywką, w której uczestniczyć żaden z nich nie miał oczywiście najmniejszej ochoty. Wypadało jednakże grzecznie i powolnie iść z wodzem aż do miejsca za wioską, gdzie Sindo uwiązany był do drzewa. Prawie cała ludność cisnęła się na około niego. Więzień dzielną miał postawę, wyglądał mniej więcej na lat trzydzieści pięć.

— Czy nie możnaby go ocalić? Wszak masz wpływ na wodza? — rzekł Hans do Williama.

— W każdym razie można przynajmniej spróbować, — odrzekł William.

Sindo miał być zastrzelony własną swoją bronią. Wykonawca wyroku był już w pogotowiu i za chwilę miał strzelać, gdy William zbliżył się do Makory, wstawiając się za skazanym. Przedstawił on wodzowi, że więzień nie popełnił tak wielkiej zbrodni; że gdyby był spiskował przeciw swemu wodzowi w celu pozbawienia go władzy, wtedy dopiero byłby na karę zasłużył; że gdyby nieszczęściem wódz Makora był rzeczywiście zginął, wtedy musiałby przecież kto inny zająć jego miejsce; nie należało więc karać Sinda za to, że chciał wstąpić w ślady księcia, panującego tak chwalebnie, jak Makora, swemu ludowi. Nakoniec prosił William Makory o darowanie życia więźniowi, ofiarując wodzowi na poparcie swéj próśby piękną strzelbę, w zamian za tę, którą utracił przy wypadku na rzece.

Makora pogrążył się w myślach przez chwilę. Potém powiedział, że nigdy nie będzie się czuł bezpiecznym, jeżeli Sindo pozostanie przy życiu, i przebywać będzie pośród jego poddanych. William radził więc wygnać Sinda z kraalu, z zakazem powrotu pod karą śmierci.

Makora jeszcze się wahał, dopiero wspomnienie wdzięczności, jaką przyrzekł wczoraj swemu wybawcy, skłoniło go do spełnienia jego życzeń. Rzekł przytém, iż pragnie, aby każdy to wiedział i rozumiał, że darując życie przystępcy, czyni on to jedynie przez życzliwość i wdzięczność dla swego młodego przyjaciela, białego wielkiego myśliwca, i że obietnica strzelby nic a nic nie wpływa na jego postanowienie.

Wszyscy poddani Makory, nie wyjmując samego więźnia, zdumieli się nad łaskawością, jakiéż żaden inny wódz afrykański nie dał nigdy przykła-

du. Sindo, zabrawszy rodzinę, oddalił się natychmiast, upatrzył zapewne w okolicy inne plemię, które go przyjęło do siebie; postanowił też prawdopodobnie w głębi duszy być na drugi raz mniej przedsiębiorczym, albo też zręczniejszym w wykonaniu swych dumnych zamysłów. Wieczorem Makora ubawił swych gości śpiewami i muzyką na bębnie i na skrzypcach afrykańskich o jednej strunie.

Nakoniec udano się na spoczynek, postanowiwszy, że nazajutrz myśliwi będą zaprowadzeni do pewnej miejscowości, obfitującej w hipopotamy.

XII.

Odkrycia.

Nazajutrz rano, uczęstowawszy gościnnego Makorę najlepszym śniadaniem, jakie przyrządzić zdołali, myśliwi nasi udali się na polowanie. Sam Makora i czterech jego podwładnych przewodniczyło wyprawie. Pięćdziesięciu innych szło za nimi, aby napędzać zwierzynę. Młodzi myśliwi zabierali z sobą wszystkie konie, bo nie mieli zamiaru wracać do wioski, chociaż Makora usilnie ich prosił, aby uważali jego kraal za swój własny przez cały czas pobytu swego w okolicy. Z miłą przeszło ciągnęły się pola kukurydzy, uprawiane przez kobiety i dzieci z plemienia podwładnego Makorze.

Młodzi nasi podróżni widzieli już liczne wioski Buszmanów, Beczuanów i Kafrów, zdziwieni więc byli, spotykając podobne ślady oświaty, zdala od wszelkich przykładów i wpływów osadników Przyładka. Jadąc nad brzegiem rzeki, spotykali nie raz małe stada bawołów, różnych antylop i zebra, aż nareszcie spostrzegli z radością, że dotarli do okolic, obiecujących taki właśnie rodzaj zwierzyny, po jaką tu przybyli.

O pięć mil drogi od wioski, ujrzeni łąkę, porośłą gęstą trawą. Makora radził tu się zatrzymać, zapewniał, że poblizki gęsty las był miejscem schadzki wszelkiego rodzaju zwierza z całej okolicy. Gdy się zgodzono na zdanie wodza, poddani jego zajęli się natychmiast urządzeniem ogrodzenia, którym otoczyli obronny już teraz obóz. Młodzi strzelcy przez ten czas także nie próżnowali. W oddali pasły się antylopy, więc Henryk i Arend udali się w tę stronę, aby upatrzyć zwierzynę na obiad dla oddziału Makory. William tymczasem wolał zajrzeć w ciemną głębię lasu, gdzie mu obiecywano grubego zwierza; pojechał więc tam w towarzystwie Makory i czterech krajowców.

Hans, Facetan i Kongo pozostali, aby pilnować koni, rzeczy, i budowy obozowiska. Niedaleko od rzeki William i Makora wjechali w las, po cieżynie błotnistej i ciemnej. Niedługo postępo-

wali pod osłoną lasu, gdy już ujrzeni gromadkę antylop z rodzaju *eleotragus*.

Zwierzęta te, znajdując się od strzelców ledwo na jakie sto metrów odległości, pasły się tak spokojnie, że William z tej ich obojętności wznosił, iż musiały po raz pierwszy spotykać myśliwych, pomimo takiej bliskości wsi Makololosów. Niewinne te stworzenia nie warte były jego strzałów, młody strzelec przeszedł też koło nich, nie czyniąc im żadnej krzywdy.

Wkrótce jednakże znaleziono ścieżkę, ubitą widocznie stopami większych zwierząt. Z radością William odróżnił wśród wielu innych wyraźne ślady hipopotamów. Wprawne oko myśliwca potrafiło nawet poznać dokładnie, że niektóre z tych zwierząt odeszły od wody zaledwo przed kilku godzinami, musiały więc znajdować się jeszcze niedaleko. Przeciwnie swemu zwyczajowi, szły one na pastwisko w dzień biały, co dowodziło, jak mało obawiały się obecności ludzi.

William mógł być pewnym, że hipopotamy zostaną jeszcze czas jakiś na pastwisku, nie posuną się też dalej i postanowił rozpocząć polowanie zabiciem jednego z bawołów, leżących w pobliżu pod drzewami. Pozostawiając Makorę i jego ludzi przy swoim koniu i psach, podszedł pod wiatr zachodząc od strony gęstwiny, aby w każdym razie przeciąć zwierzęciu drogę do niej. William był nazbyt dzielny myśliwcem, aby miał podchodzić śpiącą zwierzynę. Obrawszy miejsce odpowiednie, gwizdnął na psy, aby spłoszyły bawoły.

Zaledwie jednakże dał to hasło, gdy przerażliwy krzyk krajowców zwrócił jego uwagę, a w tejże chwili rozległ się wystrzał Makory. Koń Williama pędził już samopas przez równinę, a krajowcy uciekali w przerażeniu w drugą stronę; wół, na którym jechał Makora, z przestachu pędził prawie tak szybko, jak koń; trzy psy Williama przypadły do nóg pana.

Przyczyną tego popłochu było straszne zwierzę, zbliżające się w susach potężnych; ale do każdego skoku tak długo zbierało siły, że odległość pomiędzy ścigającym zwierzęciem i ściganymi psami utrzymywała się prawie jednakową. Bawoły powstały i uciekły w las, przebiegając na kilkadziesiąt kroków koło Williama, ale ten ani spojrzał teraz na nie, gdyż gotował broń na zdobycz, gładniejszą jego strzału.

XIII.

Poświęcenie wiernego psa.

Psy jednak nie zdawały się dostrzegać zbliżenia tego straszego przeciwnika; pan na nie gwiżdżał, więc biegły do niego ochoczo, co sił star-

czyło. Gdy zaś bawoły zerwały się do ucieczki, psy, sądząc zapewne, że były wezwane do ścigania tej zwierzyny, rzuciły się za nimi, ocierając się prawie o pana, który napróżno usiłował powściągnąć ich zapał.

William doskonale znał nadbiegające zwierzę, które rozpędziło krajowców; była to potężna samica lamparta, a młody, lecz doświadczony i bystry strzelec, odgadł nawet od razu okoliczności, wśród jakich straszne to zwierzę się znajdowało. Pozostawiając swe małe w legowisku, szło ono na żer i do wody, a nie ścigało ani Makory, ani nikogo, prócz psów, bo psy właśnie biegły w stronę, w której było legowisko; macierzyńska troskliwość kierowała skokami zwierza.

Ujrawszy Williama, lampart zmienił od razu taktykę; stanął, przechylił się i pełzał ku niemu z zacięłym pośpiechem i płomiennym spojrzeniem, hamując własny pośpiech roztropną ostrożnością, obyczajem zwierząt tego gatunku. Podniesioną głową zdawał się osłaniać ciało, jakby tarczą, oczyma iskrzącemi przeszywał młodego strzelca. Kot ten olbrzymi był już zaledwo o dziesięć kroków odległości, czas było działać. William żywo wymierzył wprost do paszczęki potwora, strzał padł... jak zawsze, celnie. Lampart przypadł brzuchem do ziemi, podskoczył, potem okręcił się kilka razy w miejscu, prawie na sposób psa, chwytającego własny ogon, zdawało się, jakby stracił świadomość tego, co się stało. Miał paszczę roztraskaną, ból odjął mu pamięć, zapomniał o niebezpieczeństwie potomstwa, i obecności nieprzyjaciela. Ale obłęd trwał tylko chwilę, oczy lamparta padły na myśliwca i ten widok rozbudził na nowo wściekłość zwierzęcia i zdwoił jego siły, wracając mu przytomność.

Wystrzelivszy, William natychmiast odbiegł na jakie pięćdziesiąt kroków, nabijając broń, i stanął, nie spuszczać oczu z lamparta. Zwierz zwrócił się teraz do niego, już bez poprzedniej ostrożności, a przeciwnie z szaloną wściekłością i żądzą zemsty.

William zdążył zaledwo kulę włożyć, nie miał czasu dokończyć nabicia strzelby, gdy potwór rzucił się na niego. Chwytając więc strzelbę za lufę, zamierzał użyć kolby, jak maczugi; zwierz dosięgał go już prawie w strasliwym skoku, gdy zjawiała się pomoc niespodziana. Jeden z psów, ogromny buldog, sam tylko nie popędził w las za bawołami, zrozumiawszy położenie i rozkaz pana, usiłującego psy zatrzymać. W chwili gdy lampart zebrał członki do rozpaczliwego skoku na myśliwca, pies uchwycił zwierza za tylną łapę. William nie stracił ani sekundy, była to jedyna sposobność ocalenia życia, w mgnieniu oka

broń nabił, ale mimo całego pośpiechu, biedne psisko konało już rozszarpane, a lampart rzucał się znowu na strzelca, gdy strzał wypadł.

W tejże samej chwili strzelec odskoczył, a gdy dym się rozproszył, ujrzał lamparta leżącego obok konającego psa. Makora i jego ludzie stali w odległości pięciuset kroków, z kądem bezpiecznie przypatrywali się śmiertelnej walce. Gdy wszystko się skończyło, wielki wódz Makora przybiegł co prędzej do myśliwca i wskazując swego wołu w oddaleniu, usiłował wytłómaczyć, że to on, uniósłszy swego pana, przeszkodził mu w niesieniu pomocy najdroższemu przyjacielowi. Gdy krajowcy zbliżyli się także ze swym wodzem do młodego zwycięzcy, ten skinieniem wskazał im lamparta, a ci natychmiast zrozumieli i zabrali się do odzierania go z taką chyżością, że w krótko William był w posiadaniu przepysznej skóry na pamiątkę swego zwycięstwa. Stał on tymczasem nad konającym psem, który patrzył na pana ze smutnym zdziwieniem, jakby pytając, dla czego nie przychodzi mu z pomocą, jak on przyszedł panu... Miał on nogi połamane i był strasznie poszarpany, bez żadnego ratunku. William zwrócił się ku Makorze i wskazał mu palcem jego strzelbę i głowę biednego psa... Dzielnym wódz zrozumiał i wymierzył... William zalany łzami odwrócił się i pobiegł za swoim zbiegłym koniem.

XIV.

Jeziorko.

Gdy William i Makora wrócili do obozu, zostali przy ogniu ogromną, doskonałą pieczeń, bo Henryk i Arend ubili tymczasem dwie pyszne antylopy.

Niezmierna ilość dużych gałęzi była już przygotowaną i budowa obronnego obozowiska postępowała szybko. Jako wynagrodzenie za współudział swój i swoich poddanych, Makora nie chciał przyjąć nic więcej, prócz trochę kawy, butelkę wódki, i trochę tytoniu. Wieczorem pożegnał swych przyjaciół, gdy ci byli już usadowieni bezpiecznie w obronnym obozie. Pozostawił im jeszcze trzech swoich ludzi, którym przykazał posłuszeństwo takie dla myśliwców, jakie winni byli jemu samemu.

Facetan zły był okrutnie z tego powodu. Nie mógł on porozumiewać się z tymi nowymi sługami inaczej, jak tylko przez Konga, więc wypadało ztąd, że Kongo miał niejako zwierzchnictwo nad trzema podwładnymi a Buszman go nie miał. To go gryzło i doprowadzało do okrutnej złości.

— Henryku — rzecze Arend nazajutrz przy śniadaniu — nie masz jakich nowych na dziś zamiarów?

— Hm — odparł Henryk — William ma szczęście, jemu pierwszemu przytrafiła się prawdziwa przygoda w tej wyprawie, trzebaż się ruszyć z miejsca, a może i na nas przyjdzie kulęj.

— Zdaje mi się, że wszystkim nam dosyć się wiedzie — odpowiedział William — wszak znaleźliśmy okolicę pełną pysznej zwierzyny, takiej właśnie, jakiej nam potrzeba; znaleźliśmy ludzi gotowych nam pomagać, brać na siebie wszelką nudną robotę, naprowadzać nas na ślad i pozostawiać nam samą tylko przyjemność walki.

(D. c. n.)

SZARADA (Różia D.).

Gdy kto wchodzi w cudze progi,
W odwiedziny, lub z usługą,
Czyni różnie pierwszą drugą —
Głową, ręką, ruchem nogi,
Rozlicznymi także słowy,
Zgięciem ciała w dwie połowy,
Lub spojrzeniem w krąg, z ukosa,
Ust skrzywieniem, drgnieniem nosa —

Trzeci czwarty: zwierza składa
Znanego nam w naszym kraju.
Szybki, chytry, z psów rodzaju,
Kradnie kury, wszystko jada,
Mleko, jaja, winogrona,
Apetyt ma doskonały —
Sierć wpół żółta i czerwona,
Ogon duży, całkiem biały —
W lasach, w polach się pojawia,
Szczeka, krzyczy głosem pawia —

Piękne futra tego zwierza,
Gdy je złożą same grzbiety;
Najpiękniejsze do kołnierza,
Wszystko — jest imię kobiety.

Łamigłówka kryształowa (Gwóźdź).

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Stolica w Europie.
4. Mieszkaniec Azji.
5.
6. Miasto w Armenii.
7. Część ciała zwierzęcia.
8. Rzeka w Rosyi.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko poety polskiego z XVIII wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

Z a g a d k i:

Jestto dewiza zakonu Kartuzów, których znakiem jest krzyż wbity w kulę ziemską, otoczoną gwiazdami.

Łamigłówki zgłoskowej:

Narew.
Alina.
Piłat.
Oleje.
Lazur.
Emil.
Otello.
Negro.

Napoleon — Waterloo.

Odpowiedzi od Redakcyi.

A z Czuszoza. Jeszcze pora na przysłanie rozwiązania zagadki historycznej, zwykle zostawiamy na to kilka tygodni czasu. Łamigłówkę wydrukujemy, ale troszkę później, bo mamy duży zapas zgłoskowych.

Edwardowi N...s. w Warszawie. Otrzymaliśmy liścik w którym nie było nic, oprócz trafnego rozwiązania łamigłówki, więc i odpowiedź musi być krótka.

Mani St. w Tzeblenicach. Liścik tak ładnie i starannie napisany odczytaliśmy z wielką przyjemnością; zamiłowanie dziejów ojczystych jest bardzo chwalebne, a zagadki nasze właśnie mają na celu rozbudzać takie upodobania.

Stasi P. w Krakowie. Cieszymy się, że Braniec tatarski tak się kochanym czytelnikom podoba i nie chcemy dłużej nadużywać ich cierpliwości, więc rozpoczynamy część drugą w N-rze dzisiejszym, a mając cały rękopis w ręku, będziemy mogli drukować dłuższe ustępy na raz. Na resztę listu jeszcze nie możemy podać stanowczej odpowiedzi.

Pani Ciemnołóńskiej w Wobolnikach. Rubel oddany dla ubogiej wdowy.

Dla ubogiej wdowy otrzymaliśmy od pani L. Zienkiewiczowej z Połocka, rs 2, od pani Żebrowskiej z Kosowa rs 1. Donosimy przy tem, że suma potrzebna na zakupienie straganu już jest zebrana i wszystkim, którzy się do tego przyczynili w imieniu tej ubogiej rodziny składamy serdeczne dzięki.

Janince Gr. i braciszkwowi jęj Tadziovi w Wrzając. Otrzymaliśmy rs 6 dla wdowy, która błogosławi dobroczynnych ofiarodawców. Komedijek mamy kilka w pogotowiu na rok bieżący.

Wincentyce S. w Lubieszowie. Książeczkę do nabożeństwa za 75 kop. (z przesyłką) wysłała już księgarnia pana Orgelbranda. 25 kop oddaliśmy dla ubogiej wdowy. Łamigłówki wydrukujemy, ale troszkę później.

Pani K. w Wońkowcach. Historyra wysłana, pozostałe kop. 40 oddane dla ubogiej wdowy.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



POGRZEB SZCZURA.

Szczur polny zginął dnia pewnego, nie wiadomo z jakiej przyczyny. Jedni mówią, że ze zmartwienia, drudzy, że ze starości, co jest najpodobniejsze do prawdy, bo to był szczurek roztropny, unikał starannie wszelkich niebezpieczeństw i znał się na podstępach. Nie dziw, że dożył sędziwego wieku. Zawsze jednak kiedyś zginąć musiał—i zginął. Padł nieborak wśród pola, przewrócił się do góry nóżkami, i leżał tak z otwartym pyszczkiem, z wystawionymi zębami. Zęby te musiały gryźć jeszcze niedawno coś twardego, bo były starte porządnie, jak zwykle u skrobogryza. Niestety! już więcej nigdy gryźć nie miały.

Przyjaciele szczura opłakiwali go przez cały ranek, a krewni przez cały dzień. Najbliższa rodzina przysłała parę razy odwiedzić martwe szczątki, ale rozniosła się pogłoska, że mucha plująca zniosła jajka w pyszczku nieżywego szczura i strach padł na wszystkich,

opuścili go i krewni, i przyjaciele nikt nie chciał się zająć pogrzebem i biedny szczur pewnieby do tej pory leżał wśród pola, gdyby...

W tej samej okolicy mieszka pod małym pagórkiem liczna rodzina grabarzy. Ci grabarze nie mają wprawdzie nosków, ale na głowce ich sterczą małe rożki, a te czują zdaleka trupa, który potrzebuje pogrzebu. Wówczas liczną gromadką ruszają w tę stronę, wszyscy ubrani są w mundury czarne z czerwonym, bo czerwony kolor musi u nich oznaczać żałobę.

Owady te blisko są spokrewnione z chrabąszczami, a jednak znacznie się od nich różnią usposobieniem i sposobem życia, to też pomimo pokrewieństwa nigdy się chrabąszcze nie poufała z nimi, przynajmniej nikt nie widział, ażeby chrabąszcz, spotkawszy grabarza, przywitał się z nim i podał mu łapkę.

Dnia pewnego, we trzy dni po zgonie szczura, stary grabarz zawołał, przebudziwszy się raniutko:

— Coś mi się zdaje, że będziemy mieli robotę w tej stronie, nad strumykiem. Zalutuje mnie zapach jakby szczura.

— Szczura? — odezwał się młodszy grabarz—a mnie się zdaje, że wyraźnie czuć kreta, a nie szczura.

— A ja mówię, że szczura.

— A ja mówię, że kreta.

— Cicho bądź, młokosie—krzyknął starszy—będziesz mi tu uczył takiego doświadczanego grabarza jak ja!

Tamten umilkł zawstydzony i cała gromadka ruszyła w stronę strumienia, gdzie leżały szczątki szczura. Przybywszy na miejsce, grabarze obejrzelі dobrze grunt.

— Ho, ho!—rzekł jeden—za dużo tu jest

kamyków, nie damy sobie z nimi rady, trzeba to zwierzę dalej przenieść.

I wszyscy grabarze znikli w jednej chwili pod szczątkami szczura. Dwóch tylko czy trzech młodych swawolników wlało na głowę trupa i lechtało mu uszy, żeby się przekonać czy nie ożyje.

Spostrzegł to jeden ze starszych:

— Próżniaki!—zawołał surowo—starsi pracują, a wam zabawa w głowie! do roboty!

A po chwili nie widać było ani jednego grabarza, szczurek posuwał się powoli, niesiony na barkach całej tej gromadki. Wreszcie przystanęli wszyscy, bo już zapewne grunt był stosowniejszy, i grabarze zabrali się do pogrzebu, siedząc ciągle pod tułowiem szczura i grzebiąc ziemię przednimi łapkami, a odrzucając ją tylnymi.

Pochować dużego szczura, to nie tak łatwa sprawa dla takich małych owadów i nie mało na to czasu potrzeba. To też młodzież zmęczyła się prędko, żaden jednak nie śmiał się odezwać, bo starsi dobrze pilnowali robotników, i groźnie na nich spoglądali. Jednakże dwom roztrzępącom udało się jakoś podejść tych czujnych stróżów, wymknęli się i wleźli na grzbiet szczura, gdzie ich nikt spostrzedz nie mógł.

— Mnie już się ta robota uprzykrzyła — mówił jeden do drugiego — kurcze mam w przednich łapkach, a tylne mnie bolą. Nie rozumiem do czego to jest potrzebne, poco ja mam koniecznie grzebać tego szczura. Co mnie to ma obchodzić? Niechby rodzina zajęła się pogrzebem.

— Zapewne—rzekł drugi—już z godzinę pracujemy ciężko, a starzy powiadają, że to może potrwać do nocy. Wiesz co, lepiej wybierzmy się obaj na spacer, mam wielką ochotę spróbować skrzydeł. Już mi się znudziło ciągle chodzić po ziemi.

— Zgoda, lećmy!—zawołał tamten i podniósł rogowate pokrywki, wydobyl skrzydełka prawdziwe, rozwinął je i miał już pofrunąć, gdy usłyszał głos dobrze znany:

— Poczekaście no! chwileczkę—mówiła tuż przy nich sędziwa babcia, której nie spostrzegli, a która wysłuchiwała ich rozmowy,—No no nie bójcie się, nie będę was łajała — mówiła dalej staruszka, pobłażliwsza od dziadków i ojców, jak wszystkie babunie — nie zabraniam wam lecieć na spacer, powiem tylko w kilku słowach, dla czego to my grzebiemy tego szczura. Słuchajno, wnuczku kochany, czy ty pamiętasz gdzie byłeś, i co się z tobą

działo, gdyś po raz pierwszy ujrzał światło dzienne?

— Zdaje mi się, że wydobyłem się z pod ziemi—rzekł młody grabarz.

— A ja jestem tego pewny—mówił drugi —pamiętam, że mi tam strasznie było nudno pod ziemią.

— A cóżecie wy tam jędl? — pytała babcia,

Malcy nie umieli na to odpowiedzieć.

— Aha! żarłoki małe! wyście zajadali mięso żabie.

— Żabie mięso! — powtórzyli ze zdziwieniem dwaj młodzi grabarze.

— A widzicie—prawiła dalej staruszka—rodzice wasi pogrzebali żabę, mama złożyła na nią jajka, a gdyście się z nich wykłuli, znaleźliście gotowe pożywienie tuż przy sobie. Widać po was, żeście nie zaznali głodu, bo wyglądacie doskonale. Teraz już wiecie, dla czego sprawiamy pogrzeb szczurowi; żoneczki wasze poskładają w tym grobie swoje jajka, a dziatwa, która z nich wyjdzie, będzie miała zapas smacznego mięsa. Czyście zrozumieli już wszystko?

— Rozumiem—rzekł jeden z malców—ale nie mam jednak wielkiej ochoty do tej pracy i wolałbym się przespacerować—

— No, no, przespacerujcie się trochę, jeszczeście tacy młodzi—powiedziała babcia.

Malcy natychmiast skorzystali z pozwolenia, rozwinęli skrzydełka i pofrunęli wesoło; bujali tak w powietrzu przez dzień cały, o zmierzchu dopiero powrócili do swojego pagórka.

— Czy już robota skończona? — zapytał stary grabarz kaleka, który nie mógł już pracować i zawsze w domu zostawał.

— My nie byliśmy teraz przy robocie — odpowiedział jeden z malców—odbyliśmy bardzo wesołą wycieczkę po polach — a gdy stary grabarz spojrział na niego surowo, dodał śpiesznie:—Babcia nam pozwoliła.

Gromadka robotników powróciła dopiero dnia następnego około południa. Wszyscy byli zmęczeni niezmiernie, bo pracowali bez odpoczynku przeszło przez dwadzieścia cztery godziny. Samiczki grabarzy poskładały jajka w grobie szczura i wkrótce z tego grobu wyszła liczna gromadka młodych owadów, a te prowadziły dalej rzamiosło swoich rodziców i dziadów tak, jak je po nich prowadzić będą ich dzieci, wnuki i prawnuki. Wszyscy z ojca na syna są grabarzami.

WIĄZANIE WNUCZEK

OBRAZEK DRAMATYCZNY

w dwóch odsłonach

przez Bogumiłę.

(Dokończenie).

ODSŁONA DRUGA.

Pokój ten sam co w pierwszym akcie, na środku stół, na którym leżą różne przedmioty, służące do ubrania dzieciennego, jako to: koszulki, sukienki, szaliki, zabawki i t. p.

Z boku leży łóżko, obok niej powinszowanie.

SCENA PIERWSZA.

ZOSIA (sama)

(Układa na stole)

Nadchodzi wreszcie to rano,

~~Od tak dawna upragnione,~~

Zobaczmy Babcię kochaną!

(~~przynosi łóżko~~)

Przenoszę cię na tę stronę.

(Po chwili)

Mozolna to była praca,

Szyć koszulki i sukienki,

Lecz zajęcie tak czas skraca

I tak miło własnej ręki,

Własnych starań ujrzeć dzieło,

Dobrze, że się wczas zaczęło,

Ah! Babunia się ucieszy,

Do swych biednych wnet pośpieszy,

Aby ulżyć ich niedoli.

Babunię tak serce boli

Gdy widzi czyje cierpienie,

Czyją troskę, lub zmartwienie.

SCENA DRUGA.

ZOSIA, JADWISIA.

JADWISIA (Wnosi dwa bukiety.)

Zosiu, postaw je na stole.

(*Zosia przypatruje się i mówi wesoło.*)

Babcia powie: o to wolę,

Niż najwspanialsze podarki;

Ta sukienka dla kucharki

Walentowej dziecka będzie,

Radość zapanuje wszędzie,

Dziękuję wam, drogie dziatki,

Rośnijcie mi, wdzięczne kwiatki.

(zwracając się do Zosi.)

Ach! Zosieczko, jak mi miło,

Jak mi błogo i radośnie!

ZOSIA.

Jak to ślicznie się zrobiło,

Serce mi z radości rośnie,

(Po chwili)

Wszystko jest, jak się należy,

(spoglądając na zegar.)

O! dziesiąta wnet uderzy.

(zwracając się do Jadwisi.)

A teraz powinszowanie

Niech Jadwisia mi powtórzy,

Aby gdy przed Babcią stanie,

Nie namyślała się dłużej,

Jak przy lekcji nieraz bywa.

JADWISIA.

O! niedobra! nie pocziwa!

Za coś mi tak dokuczyła?

Jam na to nie zasłużyła.

(placze.)

ZOSIA (przybiegając do niej.)

Co mówisz, Jadwisiu mała,

Czyżbym ci dokuczyć chciała,

Czyż me słowa takie ostre?

Wszak masz we mnie starszą siostrę,

Wierz mi, kocham cię serdecznie.

(chce ją uściskać.)

JADWISIA (odwraca się, przez chwilę siedząc obiedwie zachmurzone, wtém nagle Jadwisia zrywa się i rzuca się na szyję Zosi wołając:)

To było bardzo niegrzecznie,

Żem ja się tak obraziła.

Sama teraz błąd mój czuję.

(ściskając się.)

Teraz, słuchaj, recytuję.

(Bierze ze stołu zwinięty i niebieską wstążeczką związany arkusz papieru, a stanąwszy przed Zosią, mówi z powagą.)

Dziś dzień Twojego imienia,

Babciu droga, ukochana!

Śpieszę od samego rana,

Złożyć ci moje życzenia.

Bądź zawsze czerstwa i zdrowa,

I spokojna i szczęśliwa!

Niech ci życie mile splywa!

Niech od trosk Bóg cię zachowa!

Za twe rady i nauczki,

Za twą miłość i staranie,

Takie dla ciebie wiązanie

(pokazuje na stół.)

Obmyśliły twoje wnuczki.

ZOSIA.

Doskonale, doskonale!

Nie omyliłaś się wcale.

A teraz ja powiem swoje,

Słuchaj proszę: ot już stoje.

(dekluje.)

Jaki rozkoszny! jaki uroczy!
Ach! jaki dzisiaj wesoły dzień!
Tak drżą nam serca, tak błyszczą oczy,
Duszy nie mroczy najlżejszy cień.

Każda z nas dzisiaj taka szczęśliwa,
I tak nam mile upływa czas,
Dzisiaj Babunia do nas przybywa,
By dzień imienin przepędzić wraz.

Witaj, Babuniu! Witaj nam droga!
Niech się i tobie uśmiechnie świat.
O szczęście twoje błagamy Boga,
Najdroższa Babciu, żyj nam sto lat!

Za twe szlachetne serce i cnoty,
Niech Bóg ci swoich nie szczędzi łask!
Wolną od troski, bólu, tęsknoty,
Niech opromienia radości blask!

Tyś dla nas wzorem, tyś nam przykładem!
Tyś jest obrazem domowych cnót,
Wnuczki twe pragną twoim iść śladem,
By starań twoich nagrodzić trud.

(Słychać głos za sceną.)
A gdzież dziatwa się podziła?
ZOSIA JADWISIA, *(razem)*. *(Wybiegają)*
Ach! Babunia przyjechała.
Zasłona spada.

PRZYGODY KLARUNI

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską

(Dalszy ciąg.)

Okrutny i złośliwy ten ptak zowie się
dierzba, srokosz nadziewacz. Jaskółka znie-
nawidziła go za to pastwienie się Nielito-
ściwe i unikała odtąd staranniej jeszcze ani-
żeli żarłocznego krogulca i kani.

Po przejściu letniej pory roku, nastąpił
czas, w którym wszystkie wędrowne ptaki
zaczęły zbierać się w oddzielne stada, do od-
lotu w cieplejsze kraje.

Na wielkiej łące koło jeziora zwoływały

się żórawie na wysokich nogach, z długimi
dziobami, roztropne, czujne, przezorne, wznosi-
ły się wolnym lotem do góry; 'za niemi bo-
ciany białe z czarnymi skrzydłami, słynne
przywiązaniem do rodzinnej okolicy, i z ka-
żdą wiosną do dawnego wracające gniazda.
Dalej gromadnie śpieszyły przepiórki, czajki
i t. d., a po za temi znowu, wielkimi chmu-
rami ciągnęły jaskółki, słowiki, skowronki
i wiele innych drobnych ptasząt.

Podróż jest rzeczą utrudzającą, zwłaszcza
dla takiej wątłej istotki, jak jaskółka, która
nieprzywykła jeszcze do zbyt długich wycie-
czek i słabnie niejednokrotnie ze znużenia.
Wypoczynki bywają krótkie i nie częste,
a w każdym razie wypada starannie pilno-
wać gromady, bo się zginie i przepadnie mar-
nie po drodze. Lecz znów w takiej podróży
niezliczone mnóstwo pięknych rzeczy widzieć
i poznawać można... *(D. c, n.)*

Zagadka.

W guberni Radomskiej, co to za miejscina,
Co się tak nazywa, jak jedna ptaszyna, 't
Drapieżna co prawda zwłaszcza na gołębie,
Gdy w powietrzu lecą, miast siedzieć na dębie?

Łamigłówka kryształowa.

(Zosi W.)

1. Spółgłoska.
2. Kwiat
3.
4. Zwierzę domowe.
5. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą
nazwę miasta w naszym kraju.

Rozwiązania do Nr. 21-go.

Zagadki.

S k o w r o n e k.

Łamigłówki:

Walens.
Łowy.
Assur.
Duero.
York.
Słowo
Łom.
Abel.
Waza,